

## MARATON I KLASYKA, CZYLI WIEDEŃ 2008



Mamy go! Nawet dwie sztuki. Wspaniałe jubileuszowe medale dla „Persona Sztuka”.  
Pycha(?). W naszym przypadku pycha nie jest grzechem.

Ja i Marian pojechaliśmy do Wiednia z medycznym „wyrokiem”, który otrzymaliśmy miesiąc przed startem: Marian: „kolano skoczka”, ja „nerwiak Mortona”. Nazewnictwo zagadkowe i przytłaczające. Fakt, od dłuższego czasu biegaliśmy z bólem, ale tak od razu (!) zakwalifikować ból (który przecież nie jest obcy żadnemu rasowemu biegaczowi)? Załamka? Nie może być!! Przecież wszystko już zorganizowane i opłacone (sponsor firma Strabag opłaciła pobyt w hotelu Arcotel, niemalże na linii startu).

Damy radę („jednocząc” się z bólem na trasie)!

W najgorszym przypadku obiecaliśmy sobie walca wiedeńskiego na mecie.

W piątek (25.04) po południu jesteśmy w Wiedniu, który pogodowo przywitał nas niezbyt przychylnie (padał deszcz i było po prostu zimno), ale w sobotę Wiedeń przychylił nam swojego nieba. Już z rana zaczęło błękitnieć i zrobiło się miejsce dla słońca.

Po krótkim rozruchu udajemy się na Expo po odbiór numerów - organizacja bez zarzutów. Potem rekonesans po mieście i pobieżne zaliczanie cesarskich zabytków (na początek Hofburg - dziedzictwo narodowe Habsburgów, potem kolejno katedry różnych świętych i wiedeński parlament).



No, i oczywiście brama Burgtor - meta maratonu na Heldenplatz – Plac Bohaterów)



Na Stephanplatz „akwizytorzy” w klasycznych mundurkach zapraszają do Opery Wiedeńskiej wręczając prospekty. Zaglądam odruchowo, a tam perełki prawdziwej sztuki: „Carmen” Bizeta, „Otello” Verdiego itp. cesarskie klimaty. No tak, chciałaby dusza do raju, a tu jutro przyjdzie nam jedynie tylko trochę pomierać... .





Ostatecznie materia, która przecież jutro przemierzać będzie trasę maratonu bierze górę nad potrzebami ducha kierując nas prosto do restauracji.



Nazajutrz 6.30 pobudka. Niebawem słońce rozpościera swe promienie oświetlając trasę maratonu, którego start jest widoczny z okien naszego hotelu. Na godzinę przed startem wychodzimy na „sesję zdjęciową” i lekki trucht,







by potem...  
zasiść jeszcze w iście cesarskim fotelu w holu hotelu Arcotel.





Kilka minut przed dziewiątą ustawiamy się przy linii startu. Zaczynamy razem. Marian swoim tempem, ja... zaraz za nim. Wiem, że za szybko, ale jakoś trudno mi przełączyć się na kanał pragmatyczno-analityczny. Mijam pierwsze 5 km, spoglądam na zegarek: 27.20. No tak, znów emocje wzięły górę – miałam biec po 6 minut.

Ale jak tu biec pragmatycznie kiedy przede mną wizja, że po kilkunastu kilometrach „Morton” mnie uziemi... .

Jak kontrolować czas kiedy bezmyślnie biegnie mi się prawie bezboleśnie?

Kolejne dwie piątki przebiegam jednak już minutę wolniej.

Marian wszystkie kolejne piątki zalicza na 5 – on umie biec pragmatycznie (po ok. 25 min.)

Gdzieś w granicach 15. kilometra dobiega mnie z głośników muzyka Straussa – piękny dunajski walc. Na chwilę odpływam tam, gdzie wszechświat ciszą śpiewa i... wracam na trasę. Niesamowite! Maraton w rytmie walca. Uczucia mieszają mi się z już zaczynającym dochodzić z buta pieczeniem i kluciem.

A może by tak dalej tanecznym krokiem ... .

Po 35. kilometrze zatrzymuję się: ściągam buty, zdejmuję skarpetki (ten dziwoląg nerwiak daje odczucie, że w bucie coś cię przeraźliwie uwiera). Biegnę dalej. Ciężko.

Na 38. kilometrze znów wspomaga mnie Strauss. Kto mi poda skrzydła?! Stopy ciężko odrywają się od ziemi, a walc rozbrzmiewa w uszach. Muzyka działa trochę jak balsam, wyobraźni próbuję narzucić obraz siebie, wirującej na parkiecie w tanecznym kroku.

Rzeczywistość przesłania jednak wyobraźnię, chociaż... z moim „Mortonem” łatwiej byłoby teraz zatańczyć walca.

42. kilometr - zbliżam się do mety. Z Heldenplatz dochodzi mnie Marsz Radeckiego ( w jakim innym mieście mogłoby się to zdarzyć?).

<http://www.youtube.com/watch?v=BSKKLROWgOI&feature=related>

– muzyczny adres dla Tych, którzy chcieliby odtworzyć swój finał i dla Tych, których wyobraźnia tam pociągnie).



Przedemną rozciąga się trawiasty dywan.. Ktoś mi podał skrzydła! Nogi lekko odrywają się od podłoża, dają się ponieść rytmowi.

Błogostan - muzyka przeszywa na wskroś. Wierzę, że ten marsz jest dla mnie i dla wszystkich „Radeckich”, którzy przede mną i za mną przemierzali i przemierzają tę trasę ku zwycięskiej Bramie Burgtor na Placu Bohaterów.



Przed oczami jawi się napis Meta. Nic nie boli...





**Strauss zdążył z odsieczą – victoria wiedeńska też moja! (mój 12. maraton.)**



**I Nasza (Mariana 32.)**





Postscriptum powiekańskie.

Cesarska moc przyszła Nam z odsieczą...  
Strauss „znokautował” (póki co) Mariana „kolano skoczka” i mój „nerwiak Mortona”.

Dodatkowo cieszy też fakt, że do Wiednia pojechali z Nami „zawodowi” debiutanci: Michał Zawadzki i Jarek Sotek – obaj z firmy Strabag. W Wiedniu dołączył do Nas jeszcze Kurt Schrittwieser – prezes wrocławskiego oddziału Strabag (nasz sponsor).  
Wszyscy trzech pobiegli na pierwszy raz półmaraton i ... z godnością go ukończyli.



Dlatego też:  
oddajmy cesarzom co cesarskie, a maratończykom - wszystkim bez wyjątku czapki z głów... .

